Nr. 17. Lwów, 1. września 1903. Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Aklimazytowane zwierzęta łowne.

Napisał St. M.

(Ciąg dalszy).

Oprócz kusaka, jest jeszcze cały szereg innych ptaków, które tu i owdzie próbowano zaaklimatyzować i to nawet z pomyślnym skutkiem.

Nie sądzimy jednak, aby było rzeczą wskazaną wprowadzać u nas te rozmaite gatunki zwierzyny lotnej, które Anglicy i Francuzi przyswoić swoim terenom pragnęli — zdaniem naszem należałoby się zwrócić do wprowadzenia do niektórych rewirów miejscowych tych gatunków zwierzyny, które dawniej w nich żyły, a obecnie albo całkiem zniknęły, albo w bardzo małej ilości się znajdują.

Do tego rodzaju zwierzyny należy p a r d w a.

Jak powszechnie wiadomo i jak to niedawno w „Łowcu" czytać można było, jest pardwa na wyżynach szkockich przedmiotem starannej opieki, a zarazem ozdobą tamtejszych polowań. Pardwa szkocka, g r o u s e, nie jest odrębnym rodzajem, jest ona tylko odmianą tej pardwy, która dawniej niektóre ze ziem polskich i to niziny, licznie zamieszkiwała, a różni się tylko w niewielkim stopniu ubarwieniem upierzenia. Piękny ten ptak, wzrostem mniejszy od cietrzewia, nosi pióra, które są niejako przejściem między upierzeniem cietrzewia i jarząbka. We wschodnich okolicach dawnego Królestwa Polskiego wybierała sobie pardwa jako miejsce zamieszkania lasy podmokłe i gęsto zarosłe — na górach szkockich mieszka ona na wysoko położonych torfowiskach, które tu i owdzie pokrywają krzaki. Jest ona w wysokim stopniu niewymagająca, żywi się pękami liści i nasionami drzew, a tylko w czasie dojrzewania jagod poszukuje ich bardzo gorliwie. Wobec tego nie czyni ten piękny ptak pod żadnym względem szkody w gospodarstwie leśnem. Za to jako zwierzyna łowna przedstawia pardwa bardzo cenny nabytek. Nie ma prawie drugiego gatunku ptaka, któryby tyle dawał przyjemności myśliwskiej, co pardwa. Jej zadziwiająca

płodność i szybkie mnożenie się, sprawiają, że tam, gdzie raz osiadła, tak gęsto się znachodzi, iż strzelec nawet mniej szczęśliwy, pewnym może być zdobyczy. Lot jednak ptakowi temu właściwy, i umiejętność spostrzeżenia i wymijania niebezpieczeństwa w czasie nagonki, czyni strzał do pardwy trudniejszm, niż do bażanta, a prawie tak trudnym, jak do kszyka. To wszystko było powodem, że Anglicy tak gorliwie pardwę hodują i do takiego rozwoju stan tej zwierzyny u siebie doprowadzili.

Na naszem podgórzu zwierzyna ta miałaby wszelkie szanse zaaklimatyzowania się i dlatego podajemy sposoby wprowadzenia pardwy do rewiru.

I tutaj trzeba sobie przygotować spokojne i pewne kwoczki, którym możnaby powierzyć wysiadywanie jaj. Jaja, które w Anglii bez wielkiej trudności i stosunkowo bardzo tanio nabyć można, powinny być wzięte wprost z gniazda i podłożone pod kurę w ilości nie większej, niż dziesięć. Kwoczkę nakrywa się koszem, zaopatrzonym drzwiczkami, któremi kwoczka może się dostać do niewielkiego zagrodzenia. Tutaj podaje się jej w obfitości jadło i wodę — i po krótkim spacerze po ogrodzeniu sadza się ją napowrót na jaja. Po wykłuciu się piskląt nie może kwoka przez dwadzieścia cztery godziny opuszczać zupełnie gniazda, trzeba jej zatem podawać jadło do kosza. Tymczasem należy w ogrodzeniu ustawić płytkie korytko, do którego należy nasypać drobnych krzemieni i napełniać ciągle świeżą wodą, która od krzemieni nabiera właściwego smaku. To zagrodzenie, które może być zrobione z desek, a lepiej jeszcze z gęstej sieci drucianej, chroni pardwy nietylko od drapieżców, ale niepozwala im i ich przybranej matce zabłąkać się. W trzecim dniu po wykłuciu się piskląt otwiera się drzwiczki od kosza i pozwala się pisklętom i kwoce przebywać tak długo, jak im się podoba na wolnem powietrzu lub w gnieździe. Dopóki pisklęta nie są jeszcze lotne, żywi się je w sposób bardzo prosty. Pośrótowany owies moczy się w wodzie i z ciasta, jakie z tego powstanie, robi się małe kulki, które po wysuszeniu daje się pisklętom. Po ośmiu lub dziesięciu dniach można tę potrawę trochę omaścić, a mianowicie dawać pisklętom raz na dzień trochę jaj mrówczych. Potem daje się pośrótowany owies, tak jak z żarna wyjdzie i przy tem jadle utrzymują się młode pardwy bardzo zdrowo. Jak długo młode pardwy nie mogą na skrzydłach przedostać się za ogrodzenie, tak długo się ich nie puszcza. Musi się więc zmieniać co jakiś czas miejsce, na którem są umieszczone, bo jest ono zanieczyszczone już po trzecim lub czwartym dniu. Ostatni raz daje się im jeść o godzinie piątej wieczorem, poczem zapędza się je wraz z matką do kosza i zamyka się drzwiczki. Im dłużej się je na noc z kwoczką do kosza zamyka, tem więcej się przyzwyczajają do człowieka. Przy pierwszem pokoleniu jest to rzeczą konieczną, jeżeli chce się je do pewnego miejsca przyzwyczaić. Jeżeli się je zamyka w koszu aż do początku jesieni, to na rok przyszły na pewne w najbliższej okolicy nieść się będą.

Pomimo tego, że na pierwszy rzut oka cała ta procedura wygląda na bardzo prostą, jest rzeczą jednak nie dającą się zaprzeczyć, że wychowanie pierwszego gniazda pardw przedstawia dość wielkie trudności, wymaga wiele uwagi i uda się tylko temu, kto zna się na chowie ptactwa i ma do tego zamiłowanie. Jeżeli zajmuje się tem doświadczony hodowca, w takim razie będzie miał wyniki o wiele pomyślniejsze, niż przy bażantach, bo pardwa jest o wiele wytrwalszym i odporniejszym ptakiem, niż inne kuraki.

Jeżeli pisklęta się zaaklimatyzowały i następnej wiosny zniosły się już na wolności, to nie potrzebują już żadnej specyalnej opieki, oprócz opieki, udzielanej każdej innej zwierzynie — chyba, że wypadnie zastosować stale w Anglii używany środek wypalania traw, jako środek desynfekcyjny. Wypalanie traw jest w Anglii uważane jako pierwszy warunek prawidłowej opieki nad zwierzyną, jest ono używane także w rewirach jelenich i ma być najlepszym środkiem przeciw zaraźliwym chorobom. Oprócz tego wypalanie traw przyczynia się do wzmocnienia ich i do rozwoju nieszkodliwych owadów i larw. Jest rzeczą udowodnioną, że na takich wypalonych polanach pardwy doskonale się udają, że są odporniejsze przeciw wszelkim chorobom zaraźliwym i że składają większą liczbę jaj, niż na otwartych, nie wypalonych, mszarnych łąkach.

Faktem jest niezaprzeczonym, że hodowla pardw w Szkocyi nie przynosi żadnej szkody gospodarstwu leśnemu lub rolnemu, przynosi zaś wielki pożytek materyalny, nie mówiąc już o wielkiej przyjemności, jaką stanowi polowanie na tego ptaka.

Należałoby także zwrócić uwagę na przywrócenie niektórym rewirom tak pożytecznego rodzaju zwierzyny, jakim jest **głuszec**. Jest rzeczą zadziwiającą, że kraj nasz, który ma tak znakomite warunki i mógłby mieć tak piękny stan głuszców, tak mało ich posiada.

Zwierzyna ta tak jest dla gospodarstwa lasowego nieszkodliwa, a takie piękne na nią polowanie, że byłoby rzeczą bardzo stosowną zająć się wprowadzeniem jej do takich rewirów, w których łatwo na nowo przyjąć by się mogła.

W sprawie tej pisze Dr. Wurm co następuje:

Postanowiwszy wprowadzić do swojego rewiru głuszce, musimy się przedewszystkiem zapewnić, czy teren odpowiada potrzebom tego ptaka. Pewną na to odpowiedzią będzie fakt, że w rewirze głuszce albo się jeszcze znajdują, albo też przed niedawnym czasem się znachodziły, i jeżeli w drzewostanie nie zostały poczynione, albo nie mają być poczynione znaczniejsze zmiany. Pagórki lub góry z południowo-wschodnią lub zachodnią ekspozycyą, z mieszanym co do wieku i jakości drzewostanem, jednakże z przewagą świerczyny, z gąszczami i polanami, czy to z powodów naturalnych czy nienaturalnych powstałemi, łąkami, bagnami, dawnemi węglarniami itp., zarosłe krzakami borówek i brusnic, są najlepszymi na siedziby głuszców. Nie może także brakować piasku do paprania się i kamyków dla strawności. Potrzebne są także liczne kolonie mrówek, których larwy służą do wychowania piskląt. Strumyki i źródełka są potrzebne mniej może dla wody, jak dlatego, że w nich znajdują głuszce krzemienne kamyki, które chętnie połykają. W lasach niepodszytych, czystych kniejach świerkowych, w równym, wysokopiennym lesie, nie będzie głuszec chętnie przebywał, jak również w lasach liściastych, gdzie chyba tylko w lecie się pojawić zechce. Nie jest przyjacielem porządnej gospodarki lasowej — i, mianowicie w czasie toków, przenosi on zanieczyszczony i nieuprzątnięty las gminny nad najlepiej utrzymany las domenowy. Obok świerków, sosen i jodeł, daje mu także pożywienie buk, dąb, jesion, osika, jarzębina, a nawet brzoza. Początkowo był głuszec mieszkańcem wielkich lasów nizinnych, jak n. p. po dziś dzień na Litwie, Polesiu, w Rosyi — obecnie wyparto go w środkowej Europie do lasów podgórskich i górskich — lasy nizinne bowiem o większych rozmiarach poznikały. Chcąc na nowo zaprowadzić głuszce na

nizinach, trzebaby mieć do rozporządzenia większe obszary lasów. Gdy zaś tego warunku trudno dopełnić, należałoby tylko starać się o poprawienie stanu głuszców w rozległych jeszcze lasach górskich lub podgórskich.

W Anglii zostały głuszce tak gruntownie wyniszczone, że według prof. Newtona na całym obszarze wyspy nie było w muzeach ani jednego egzemplarza angielskiego. W Szkocyi, a przedewszystkiem także i w Irlandyi ostatni głuszec był widziany około roku 1760. Jarząbek znikł na wyspach brytyjskich również, podczas gdy cietrzew, który nie lubi wielkich leśnych obszarów i pardwa ocalały i żyją, szczególniej ta ostatnia, licznie rozmnożona. W czasie długoletnich walk domowych wyniszczono ogniem i toporem obszerne lasy i to stało się główną przyczyną zniknięcia głuszców. Dopiero z początkiem tego wieku zaczęto pracować w Anglii nad zalesieniami i racyonalna gospodarka lasowa przywróciła także warunki, w których głuszce egzystować mogą. L. Lloyd, który długie lata w Szwecyi mieszkał i polował, jest duchowym ojcem „restauracyi“ głuszca w Szkocyi. Poruszył on tę myśl w dwóch swoich doskonałych dziełach, traktujących o polowaniach w Szkocyi i zakreślił plan jej wykonania, zainteresował nim Sir Tomasza Fowell Buxtona (Norfolk) i lorda of Braedelbane (Thaymouth-Castle), i sam z wielkim trudem sprowadził żywy materyał rozpłodowy. Łapanie głuszców powinno się odbywać zapomocą postawionej prostopadle na ścieżkach wysypanych jagodami sieci, która spada na ptaka, gdy się jej dotknie — a ponieważ sznur sieć tę okalający uwiązany jest do palika, sieć zaciąga się na ptaku przy jego usiłowaniach uwolnienia się coraz mocniej, paraliżuje jego ruchy i chroni go od uszkodzenia. Można także łapać głuszce w skrzynki potrzaskowe.

W jesieni r. 1837 i na wiosnę r. 1838 przystawiono do Thaymouth (Perthshire) 49 sztuk obu rodzajów. Skoro się zaaklimatyzowały, a nawet — gdy już częściowo w zagrodzeniach odpowiednio urządzonych, nieść się zaczęły, wypuszczono je w lasy, które uznano za najodpowiedniejsze dla nich. We wrześniu 1839 szacowano ich stan na 70—80 sztuk — a w r. 1862 było ich już więcej niż tysiąc. Obecnie świadczy mapa Harrie-Browna, że większa część Szkocyi jest silnie przez głuszce zamieszkaną, a Millais w r. 1894 podaje, że na polowaniu, niestety z nagonką, u księżnej Athole ubito 70 głuszców. Z centrum tego rozszerzyły się głuszce szybko po całej dolinie Tay aż do Pertle, Comrie, Strathmore. Na wyspie Arran, położonej na zachodniem wybrzeżu Szkocyi, gdzie liczny dawniej stan głuszców został doszczętnie wyniszczony, puszczono w r. 1843 ośm kur i dwa koguty, złapane częścią w Thaymouth, częścią w Szwecyi, a w r. 1872 można było w czasie jednodniowego marszu spotkać 30 do 40 sztuk głuszców. Powodzenie tego przedsięwzięcia zawdzięczać należy następującym siedmiu okolicznościom: 1) Położenie insularne Szkocyi nie pozwala głuszcom oddalać się z niej, chociaż są zupełnie wolno puszczone, 2) okolica, w której były wypuszczone, obfitowała dawniej w głuszce, posiadała zatem wszystkie warunki dla nich potrzebne, 3) wielki obszar domenów, w których doświadczenia robić zaczęto, umożliwiał przeprowadzenie jak najskrupulatniejsze hodowli. 4) Utrzymano najracyonalniejszy stosunek kogutów do kur i postarano się o obfite, a naturalne pożywienie, 5) początkowe zagrodzenie nie było za szczupłe, nie trzymano w niem głuszczów za długo i czyniono wszystko, żeby zdrowo mogły się w niem chować, 6) zrezygnowano zupełnie z pomocy kur domowych przy wysiadaniu jaj. Doskonale udał się fortel, polegający na tem, że po 3 lub 4 jaja głuszców włożono do gniazd licznie w tej okolicy żyjących cietrzewi, po wyjęciu oczywiście takiej samej liczby jaj z tych gniazd. Młode pisklęta znalazły opiekę pokrewnego gatunku matki. Potem same głuszce zaczęły wysiadać jaja, często o kilka mil od zagrodzenia, w którem pierwotnie dłuższy czas spędziły. 7) W końcu, najważniejszą może rzeczą było to, że próba przedsięwziętą została na wielką skalę i z jak największą troskliwością i ofiarnością.

Przy przywróceniu tem głuszca w Szkocyi poczyniono kilka bardzo interesujących spostrzeżeń. I tak rozszerzanie się głuszca szło prawie bez wyjątku dolinami w górę lub na dół strumienia lub rzeki; prawie nigdy nie przechodziły przez górę do innej doliny. Spostrzeżono, że głuszce przenosiły się lotem ponad szerokie rzeki i odnogi morskie, że jednym ciągiem robiły cztery do pięć mil angielskich. Po największej części ruchliwsze kury były pionierami w nowych osadach, najprzód widziano zwykle niespodzianie kury, a potem dopiero nieraz w rok lub dwa zjawiały się koguty. W tym czasie wdowieństwa powstawały hybrydy w połączeniu z cietrzewiami, a więc tak zwane skrzekoty. Znikło to zupełnie, gdy już głuszce w takiej okolicy się więcej rozmnożyły. Jeden skrzekot znalazł śmierć przez uderzenie się o drut telegraficzny.

Jako ideał osady głuszcowej opisuje Harrie-Brown las, złożony z jodeł, świerków i sosen, zajmujący około 300—400 ha., nachylony ku słońcu, z którego czwarta część była lasem wysokopiennym, reszta była racyonalnie prowadzonymi zrębami.

Niestety w Anglii nie ma polowania na głuszce na toku i Anglik uważa głuszca także za przedmiot owych masowych rzezi, jakie uprawia wobec kuropatwy i grousa. Polują tam na głuszce tylko z nagonką, bez wszelkiej poezyi, która towarzyszy polowaniu na toku. Wszelkie namowy do zmiany sposobu polowania spełzły na niczem — na kontynencie wydzierżawia Anglik w Styryi lub Tyrolu polowanie na głuszce i poluje z zapałem na toku — u siebie strzela w jesieni każdego koguta, którego mu nagonka napędzi.

Przykład Szkocyi nie wszędzie da się wprowadzić. Doświadczenie było tam przedsięwzięte na wielką skalę, która nie wszędzie da się skopiować. Były jednak przykłady, że udało się wprowadzić głuszca w mniejszym rewirze.

Próby przedsięwzięte z głuszcami szwedzkimi w Pszczynie, w Augsburgskiem, na Taunusie, w Rominten nie udały się, głuszce ginęły lub rozleciały się i zniknęły. Udała się jednak doskonale próba zrobiona w Dolnych Łużycach, u ks. Drehna.

Chcąc głuszce sprowadzić, trzeba już w lutym lub marcu o nie się starać. Chwytanie głuszców w Skandynawii lub Rosyi jest na wiosnę zakazane, dostaje się więc egzemplarze już dawniej schwytane, które pod względem wieku (najlepsze są dwuletnie) i stanu zdrowia są znane i które trochę już do ludzi przywykły. Takie głuszce nie rozlecą się tak łatwo po okolicy. Najlepiej jest wypuszczać w jednem miejscu dwie kury i koguta. Późniejsze wypuszczenie ma tę złą stronę, że głuszce nie zapoznawszy się dobrze z nowem miejscem swojego pobytu, nie będą dobrze i wesoło tokować.

Dr. Wurm podaje następujące adresy firm, które mogą dostarczyć głuszców:

1) B. Dahse w Ystadt (Szwecya), wysyła od września do lutego głuszce z gwarancyą żywego przybycia i zdro-

wia sztukę, koguta lub kurę po 50 marek. Przy większym odbiorze po 35 marek.

2) F. Zivsa w Opawie.

3) G. Smisen, Helsingfors, liczy 50 marek za sztukę.

4) Karol Gudéra w Wiedniu liczy po 55 marek, kosz po 2 marki od sztuki, asekuracya za gwarancyę, że ptak przybędzie zdrowy 15%.

Każdy ptak jest wysyłany w osobnym koszu, wysłanym mchem i zaopatrzonym w jadło.

(C. d. n.)

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

II.

Obawiałem się, czy podczas naszej nieobecności w obozie słonie nie przeszły tędy i nie umknęły; szczęściem, obawy moje były płonne. Słonie są tu za bardzo często niepokojone i tępione, dlatego też zachowują należyte ostrożności.

W pochodach swoich krążą i zakreślają ogromne koła, zatrzymując się na postojach nie dłużej nad parę godzin; po jednym lub dwóch tygodniach zwykle wracają na miejsca, gdzie nie były niepokojone.

My natrafiliśmy na ich żerowisko, należy więc czekać, tylko cierpliwości, cierpliwości i spokoju, a słonie przyjdą.

Zachowujemy należyte ostrożności; nie łazimy niepotrzebnie po zaroślach, bo zmyślne zwierzęta tropy ludzkie zaraz poczują, a co gorsza, odróżnią, czy one są świeże, czy dawniejsze. Codziennie więc przebiegamy zarośla w prawym kierunku, jednym tylko pasem, upatrując śladów, ale dotąd jeszcze cicho.

Po powrocie do obozu zaraz na wstępie doniesiono mi, iż lampart podchodzi pod nasze obozowisko, a nawet udało mu się unieść kawał mięsa. Lwy dotychczas tylko krążą naokół po nocach i wyją. Miłe sąsiedztwo i miła pora, bo deszcz leje jak z cebra.

Pora deszczów jest najcięższą chwilą dla tych łupieżców, czas to straszliwego głodu i nędzy. Woda zalewa wszystko i rozprasza zwierzęta, które stanowią ich pożywienie: antylopy, jelenie, bawoły, umykają na wsze strony. Czasem i tydzień przechodzi, a król puszczy i służba jego nic nie je. Natura dała im żołądki nadzwyczaj na głód wytrzymałe, lecz wszystko ma swoje granice, i cierpliwość zwierząt się kończy. Szalone z głodu, podchodzą pod wsi, porywają psy, kury, a nawet rzucają się na ludzi. Zwykle czynią to zwierzęta stare, zupełnie przez głód wyczerpane, które już zdobyczy złowić sobie nie mogą; młodsze dają sobie jeszcze jako tako radę w puszczy.

To wielkie szczęście dla nas, bo jakby wszystkie lwy zgłodniałe rzucały się na ludzi, to ładniebyśmy wyglądali w naszym obozie. Codziennie w nocy krążyły naokoło nas, rycząc straszliwie. Nic nie było więc łatwiejszego, jak rzucić się na którego z nas podczas naszych wypraw na słonie, gdy, brodząc po wysokich trawach, szukaliśmy tropu.

Służba moja byłaby też narażoną na niebezpieczeństwa, gdyż po drzewo i wodę szła uzbrojona tylko w siekiery. Lecz nigdy żadnemu z nas nie przytrafiło się nic złego, owszem, uważałem nawet, że nasze wycieczki odstraszają łupieżców, którzy uchodzą w inne strony.

Z nadejściem ciemności nocy, głód i zapach mięsa przyciągają je pod sam obóz, a wtedy, gdyby który z nas wyszedł, nie wiem, coby się stało. Wewnątrz obozu podsycając ciągle ogniska, byliśmy zupełnie bezpieczni; wysokie szańce z ziemi i ciernistych gałęzi chroniły nas od napaści. Chociaż Bóg wie, co się w tych zaroślach i kolczastych krzakach afrykańskich kryje. Wiem tylko, że lwy boją się cierni, bo one włażą im jak drzazgi w łapy, które obierają się, co przy każdem poruszeniu sprawia im ból niesłychany.

Dziwi to zapewne każdego, iż ja, będąc otoczony lwami, nie próbowałem polowania, aby choć jednego uśmiercić, ale w porze deszczowej jestto zbyt trudnem zadaniem. W dzień nie widać ich nigdy, albo może raz do roku uda się komu dostrzedz lwią grzywę, w nocy zaś deszcz pada bezustannie. Ulewa dudni po liściach, tak, że nic słyszeć nie można, a ciemności oślepiają; w taką noc polować, to dość niebezpieczna historya. Przytem lwy są nadzwyczaj ostrożne i na przynętę nie tak łatwo dadzą się złapać, a jeśli już się raz na ten krok zdecydują, to porwą z przed nosa ofiarę tak szybko, że nim się zmierzysz, lew już jest daleko. Zwłaszcza, że zwierz nasze przygotowania widzi doskonale z kryjówki, podczas gdy my nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Wszelkie próby i wysiłki moje w tym celu spełzły na niczem i doszedłem do przekonania, że czatować w nocy na lwy podczas pory deszczowej na nic się nie przyda. Próbowałem także łowów z reflektorem elektrycznym i chciałem strzelać z za palisady obozowej, ale lwy widziały doskonale nasze przygotowania i trzymały się zdala od świetlanej smugi.

Używałem także innego sposobu: na ścieżkach, którędy lwy przechodziły, nastawiałem nabite strzelby, które za jednem niebacznem pociągnięciem sznurka wypalały do zwierząt. Tym sposobem raniłem kilka, lecz nie zabiłem żadnego.

Podczas suchej pory odbiłem wszystkie moje niepowodzenia, a jak zemsta moja była sroga, dowiemy się później.

Wracajmy tymczasem do lamparta.

Lampart nasz był mniej ostrożny od swoich wielkich braci lwów, a przytem bardzo ciekawy.

Wieczorem tegoż samego dnia, dla lepszej obserwacyi widocznie, wspiął się na drzewo; nieszczęście jednak chciało, iż był tak niezręczny, że wybrał sobie drzewo akurat naprzeciw mnie. Tego tylko czekałem; w jednej chwili porwałem mój nieodstępny winchester i wpakowałem mu cały nabój śrótu; lampart spadł z łoskotem tuż za obozową palisadą. Usłyszeliśmy tylko parę jęków, potem nastała cisza. Nazajutrz w tem miejscu nie znaleźliśmy nic prócz kałuży krwi, ani śladu lamparta, lwy widocznie musiały go oprawić.

Aby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, szliśmy za tropem czas jakiś, ale w porze deszczów śledzić tropy lwie, w bujnych trawach, to jest toż samo, co ścigać wzrokiem lot ptaka w przestworzach.

I jeszcze jeden dzień przechodzi bez żadnych rezultatów. Deszcz leje, jak z cebra. W obozie nudy śmiertelne, wszyscy ziewają, albo dla odmiany czytają stare gazety; ludzie moi, skupieni przy ogniskach, palą fajki i rozmawiają z cicha.

Zrobiliśmy codzienną wycieczkę i wracamy, jak zwykle, z niczem.

Naraz koło godziny dziewiątej wieczorem dźwięk dobrze znany dochodzi uszu naszych; to ryk słonia, krótkie, urywane dźwięki powtarzają się raz jeszcze, a potem wszystko milknie; tylko w ciszy nocnej słychać krążenie hyen i lwów.

Ledwie się trochę rozwidniło, a już czynimy przygotowania do wyprawy. Bierzemy tylko dwie skrzynki i wszystko w nie pakujemy, zacząwszy od mąki, zapasów żywności na trzy dni, kotła, rondli, soli, derek nocnych dla moich ośmiu ludzi, dla mnie zaś rondel, herbatę, cukier, mleko w puszce i ryż, hamak, kołdrę i aparat fotograficzny.

Z takim ładunkiem możemy długo ścigać słonie, możemy nawet spędzić trzy doby poza obozem.

Gdy podczas moich łowów lub pochodów deszcz pada, mam zwyczaj rozbierać się zupełnie. Pakuję zatem spodnie i koszulę trykotową do gumowej torby, zachowując tylko kapelusz i buciki, a za jedyne ubranie służy mi przepaska na biodrach (pagne). Nie powiem, abym w tem przebraniu wyglądał zachwycająco, ale przekonałem się, że podczas deszczów nic ma nic praktyczniejszego. Jak tylko deszcz przestaje padać, skóra na mnie wysycha i nie czuję nieprzyjemności chodzenia w mokrem ubraniu, z czego tylko nabawić się można febry lub reumatyzmu. Jak się wypogadza zupełnie, wydobywam z worka ubranie, wdziewam je i idę dalej. Murzyni podczas największych deszczów chodzą zupełnie nago i nie robi im to najmniejszej różnicy.

Najlepszym płaszczem gumowym, jaki kiedykolwiek wymyślono, jest bez zaprzeczenia skóra ludzka. Chciałem nawet chodzić boso, jak i murzyni; bo pomyśleć sobie, co to za wygoda dla strzelca ślizgać się po trawach prawie bez szelestu. Chodzenie jednak boso wcale mi się nie udało, trzeba się do tego przyzwyczaić od dziecka; my zaś mamy skórę na podeszwach za delikatną. Po kilkakrotnych próbach popodbijałem sobie nogi i nic więcej, wkrótce też ten sport zarzuciłem zupełnie.

W kostyumie strzeleckim, składającym się jedynie z kapelusza i bucików, nie mogłem przechadzać się po promenadach miast kolonii afrykańskich, ale po dzikich zaroślach to co innego. Zwłaszcza w porze deszczów, gdy i psa kijem z domu nie wygonisz, wszyscy koloniści pilnują rodzinnego ogniska, odkładając wycieczki na lepszą porę, zatem w puszczy jesteśmy teraz swobodni.

Prawdę powiedziawszy, to pory deszczowe dały nam się dobrze we znaki, i trzeba mieć prawdziwą żyłkę myśliwską, aby znosić wszelkie niewygody i trudy. Zachowaliśmy jednak wraz z Bertrandem nasz humor i wesołość, a memu towarzyszowi zawdzięczam dużo chwil jasnych i szczęśliwych, podczas długich lat podróży.

Wróćmy jednak do naszej rannej wyprawy.

Ze świtaniem opuszczamy obóz. Ludzie moi ze mną przodem, za nami postępuje w pewnej odległości oddział służby. Idziemy w kierunku, skąd wieczorem dochodziły nas odgłosy zwierząt; po godzinnem poszukiwaniu, znajdujemy świeże tropy pięciu słoni. Postępujemy więc za śladem. W stadku tem muszą być, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, tylko same samice; idą sznurem indyjskim, wolno, co oznacza, że nie szukają pożywienia. Prawdopodobnie kiedyś się zatrzymają, jeżeli nie jadły nocy ostatniej, bo w takim razie mogą nas długo wodzić za sobą. Koło ósmej deszcz przestaje padać, słońce się ukazuje z za chmur i chciwie wypija krople rosy z traw i liści, zaczyna się upał. Wspominałem już poprzednio, że mamy teraz lato, słońce dochodzi do zenitu i promieniami swymi razi bezlitośnie. Robi się duszno. Dla nas to okoliczność sprzyjająca, bo słonie na upał nie są wytrzymałe i zapewne wkrótce zwolnią biegu lub zatrzymają się dla odpoczynku.

Około południa wreszcie, gdy jesteśmy już bardzo daleko od obozu, zwierzęta od czasu do czasu zatrzymują się w cieniu drzew dla zbierania owocu fula. Są przed nami o jaki kilometr drogi najwyżej. Naraz wiatr zmienia swój kierunek. Ach! żeby choć nasze zabiegi nie poszły na marne. Jeżeli nas słonie poczują, wszystko stracone. Cofamy się na prawo i przystajemy co chwila.

W tej porze słonie w pochodach umykają mniej szybko, lecz wiatr figlarz zmienia swój kierunek co chwila, a czasem nawet, gdy już się widzi zwierzynę. To utrudnia polowanie niezmiernie.

Około pierwszej po południu upał nie do zniesienia, na niebie od północy gromadzą się chmury czarne, będziemy mieli deszcz niezadługo. Trzeba się spieszyć. Jakoż po chwili dostrzegamy pomiędzy pniami drzew słonie, które kroczą drobno, można już doskonale odróżnić ich szare grzbiety i wielkie uszy, migające między pniami fulów. Wiatr znów zmienia swój kierunek, ale to nam nic nie przeszkadza. Spieszymy się. Jestem o trzydzieści metrów od zwierząt i obserwuję je bacznie. Moi ludzie rozpró̈szyli się na prawo i lewo, upatrując zdobyczy. Stadko, o ile mogę dojrzeć, składa się z samych samic; jedna z nich, najstarsza i największa, zostaje trochę w tyle, po chwili staje i ociera się o pień drzewa. Podchodzę coraz bliżej, czając się za krzakami, bo trawa niska ukryć mnie nie może. Jednym rzutem oka obejmuję całe stado. Nieco dalej za starą samicą, w tej samej linii postępuje druga, trzecia zaś znajduje się nieco na lewo odemnie i widzę tylko jej grzbiet szary. Plan mam taki: strzelić najpierw do tej, co się czocha o drzewo, potem do jednej z dwóch dalszych, co zależy od pomyślnych okoliczności.

Nabijam ekspres N. 1, podchodzę bliżej i na dziesięć metrów palę dwa razy do mojej starej, pakując jej obie kule w serce. Ta, co jest na lewo, robi pół obrotu i zatrzymuje się w osłupieniu, dla otrzeźwienia pakuję jej dwie kule nr. 2-gim, wreszcie porywam karabin nr. 1, powtórnie nabity, i walę jeszcze do najbliższego słonia. Trwało to zaledwie kilka sekund, słonie na chwilę zgłupiały, przystanęły, a potem szalonym pędem zaczęły uciekać. Na czele pomknęła żwawo stara, jakby nigdy nic, druga zatoczyła półkole na lewo, a potem przyłączyła się do stada i pomknęła razem z innemi.

Biegniemy wszyscy za tropem. Jestem pewny pierwszej i prawie zupełnie drugiej, trzecią, zdaje się, że lekko drasnąłem po łopatce. Po jakimś czasie znajdujemy farbę na tropie, zrazu mało, potem coraz więcej. Rozglądamy się naokół, czy nie widać gdzie słoni, bo jeśli postrzeliłem je w płuca, to zwierzęta mogą uciekać daleko. Wbiegliśmy na równinę, naraz za krzakiem spostrzegam jakąś wielką, szarą masę, to moja pierwsza samica! Leży martwa, obie kule trafiły ją w serce. Ale gdzie jest druga zdobycz? Szukam dalej, w chwili, gdy się spuszczam do niewielkiej dolinki, spostrzegam drugiego słonia przy kępie drzew. Naraz zrywa się burza i wicher szalony. Poprzez smugi deszczowe zaledwie mogę dojrzeć moją ofiarę. Biedne zwierzę cierpi widocznie, drży i szybko robi bokami, musiałem ją postrzelić w płuca. Obchodzimy dolinę wolno, aby nas nie spostrzegła, jestto jednak zbyteczne, bo zwierzę, obezwład-

nione bólem, nie zwraca na nas najmniejszej uwagi. W chwili, gdy mam do niej strzelać, ugina się i zapada w trawy, oddychając ciężko; jednym strzałem w ucho kładę koniec tym mękom. Wokoło ofiary wielka kałuża krwi, która spływa cienkim, krwawym strumykiem w dół parowu.

Jest już po drugiej. Trzydzieści kilometrów dzieli nas od obozu, posyłam ludzi do Bertranda, aby wszystkich tutaj sprowadził. Zawsze tak się urządzam, gdy zabijemy jakiegoś grubszego zwierza. Z przenosinami obozu mamy kłopot niewielki, zwłaszcza teraz, gdy wody jest wszędzie podostatkiem; przenosić oba słonie byłoby o wiele trudniej.

Ludzie moi mogą przyjść najprędzej jutro około jedenastej rano. My zaś odpoczywamy czas jakiś, a potem wyszukujemy noclegu. Wybieram miejsce w samym dole parowu, nad strumykiem, o jakich 50 metrów od ostatniej zdobyczy; robimy naokoło ogrodzenie z ciernistych gałęzi, następnie zaś idę mierzyć i fotografować moje ofiary.

Ludzie moi mają niekłamaną ochotę napocząć którego ze słoni, ale ja nie pozwalam, tegoby tylko brakowało, aby drapieżniki z całej okolicy znęciły się do naszej zdobyczy. A tak deszcz zmył ślady i zapach krwi, może więc przez noc słonie ujdą cało; co będzie jutro, zobaczymy. Kontentujemy się zwykłą wieczerzą i przepędzamy noc spokojnie, bo odpoczynek należał się wszystkim.

Nazajutrz Bertrand razem z całym personalem służby przybył o oznaczonej porze. Zaczyna się robota koło ćwiartowania słoni. Połowa ludzi moich, strzelcy, służba i kucharze pracują, podczas gdy druga połowa powiększa obóz na wieczór. Wszyscy jesteśmy w ruchu.

Jak tutejsi strzelcy rozbierają słonia, zobaczymy zaraz.

Ponieważ zwierz leży zwykle na boku, a żaden nóż nie może podołać twardości skóry grzbietu, zaczynają od tego, że ucinają ucho tuż przy nasadzie, gdzie skóra jest najdelikatniejsza. Potem zdejmują stopniowo nożami skórę z szyi, aż do końca brzucha, następnie odcinają kończyny górne i dolne. Ośmiu ludzi zaprzęga się do tych olbrzymich łap i odciąga je na kilkanaście metrów od miejsca egzekucyi. Teraz dopiero przecinają wzdłuż skórę na brzuchu i ściągają ją od końca żeber do grzbietu. Żebra łamią rękoma, bo słoń ma kości kruche. Gdy wnętrzności są już odkryte, wyjmują je natychmiast z jamy brzusznej, co nie jest rzeczą łatwą. Patrzącemu na operacyę wyjmowania trzewi, zdawaćby się mogło, że to dzieci ciągną ogromną, nadętą pierzynę mlecznej białości.

Gdy wątroba, serce i płuca są już wyjęte, wnętrze słonia przedstawia ogromną krwawą jamę; aby lepiej pracować można, dziesięciu ludzi wchodzi do jej wnętrza, i brodząc po kolana we krwi, oczyszcza ją w dalszym ciągu. Potem odcinają głowę, a krew ze środka jamy brzusznej spuszczają z wielką starannością do kiszki. Wtedy dopiero, wspólnemi siłami przewracają słonia i z drugiej strony powtarzają też samą manipulacyę zdejmowania skóry i t. d. Po rozebraniu wszystkiego mięsa zaczyna się uczta i spożywanie smakołyków.

Pracując bez przestanku od godziny jedenastej do ósmej, przenieśliśmy obydwa słonie do wnętrza obozu, z mięsa zaś ułożyliśmy formalną górę. W nocy hyeny dają nam przeraźliwy, wyjący koncert, oczyszczając zaazem tak dobrze miejsce, gdzieśmy ćwiartowali słonie, że gdyby nie zdeptana trawa i ślady kopyt, niktby się nie domyślił wczorajszej egzekucyi. Lwa nie mieliśmy ani jednego, co oznacza, iż w tym pasie jest mniej zwierzyny, aniżeli w poprzednim. Co zaś do hyen, to te mają nos doskonały i o parę kilometrów zwęszą szczątki zwierzęce, a lecąc prosto na ucztę, wyją żałośnie i ponuro.

O trzy mile drogi od obozu jest podobno wioska; posyłam też zaraz do wodza z prośbą o przysłanie mi ludzi do przeniesienia słoni. Niezadługo pięćdziesięciu krajowców staje do apelu. Kilka kobiet przybywa z nimi w celu zamiany owoców krajowych na mięso. Zaopatruję obóz w słodkie owoce patatów, kukurydzę, banany, kury, jajka i rodzaj szpinaku. Posyłam Borelemu, do głównej naszej kwatery, trochę produktów i zwierzyny pod strażą jednego z moich ludzi.

Ponieważ słońce pokazuje się tylko chwilami, każę wędzić mięso dniem i nocą, aby jutro zaraz można je było przenieść do punktu zbornego, zkąd mamy wyruszyć w dalszą drogę.

Na przenosiny słonia, bez wyjątku, czy chodzi o samca lub samicę, trzeba co najmniej czterdziestu do pięćdziesięciu ludzi. Każdy z nich niesie jakąś część mięsa. Po odjęciu kości mięso uwędzone traci połowę swej wagi, tak, że do niesienia wystarcza tylko 25 ludzi. Przeciętnie każdy żywy samiec waży 2 tysiące kilo, samica zaś 1,600 co najmniej. Ze wszystkich zwierząt mięso słonia po wysuszeniu jest najlżejsze, zapewne dlatego, że w skład jego wchodzi więcej wody, i rzeczywiście, schnąc, traci więcej niż połowę swej wagi, podczas gdy mięso bawołów i żubrów traci zaledwie jedną czwartą ciężkości.

Co zaś do gatunku, to mięso słonia jest za twarde i za włókniste dla nas, europejczyków. Serce należy do wyborowych kawałków, w jedzeniu jest miękkie i pożywne. Wątrobę, aby była krucha, należy gotować 15 godzin, nogę zaś trzydzieści. Ale to są wszystko potrawy tak świetne, że nic podobnego nie posiadamy w naszych kuchniach europejskich.

Ku zgorszeniu wszystkich kuchmistrzów powiem, iż łapa słonia, dobrze przyrządzona przez żonę strzelca afrykańskiego, jest kęskiem tak smakowitym, że poprostu delicye, palce lizać. Parę razy wraz z Bertrandem przez kilka dni z rzędu jedliśmy tę potrawę *muendo ua ncu* i zajadaliśmy się. Mamy więc różne pociechy w głębi Afryki środkowej.

Dla lepszej pamięci podaję przepis, jak należy przygotowywać łapę słonia.

Bierze się świeżą nogę młodego słonia, odejmuje od kości białe mięso i kraje w podłużne paski na palec grubości, kształtem i barwą przypominają one paski *panieńskiej skórki*. Te apetyczne paski mięsa wiesza się na słońcu dla wysuszenia a tłuszcz, co z nich pod wpływem ciepła wycieka, zbiera starannie do miseczki.

Chcąc przygotować potrawę *muendo ua ncu*, bierze się jeden pasek mięsa, kraje w kostkę i nalawszy trochę wody, gotuje w tygielku, na wolnym ogniu, raz po raz wody dolewając.

Gdy mięso w tygielku rozgotuje się na galaretowatą masę, wlewa się do niego tłuszcz, przysmażony poprzednio z cebulą, cząbrem lub innemi korzeniami, dodając jedno lub dwa ziarnka pieprzu tureckiego. Potem należy gotować jeszcze potrawkę dwadzieścia godzin, dolewając wody potroszeczku. Następnie dopiero

wydać na stół; do tego podaje się mąka manioku lub bułeczka tarta.

Nota: Potrawę tę można kilkakrotnie odgrzewać i smaku nie straci.

Prócz mięsa, moje słonie dały mi jeszcze kły. Z tych para starszej samicy ważyła 16 kilo, a młodszej 5 kilo, to jest wagą zwykłą. Kły samic są zazwyczaj cienkie i mocno wydłużone, podczas gdy u samców znajdujemy bardziej proporcyonalne, kształtniejsze i krótsze.

Obóz nasz dotychczasowy opuszczamy raniutko, zostawiając kości hyenom na pożarcie. Podczas gdy Bertrand z całym zastępem najętych murzynów postępuje najkrótszą drogą, ja zbaczam i krążę tak, aby nie iść z wiatrem, bo może uda nam się spotkać jakiego zwierza.

Poranek jest dżdżysty, drobne, jak mgła, krople deszczu sieką niemiłosiernie. Naokół krajobraz ciemny i ponury, na kilkanaście kroków nie widać nic. Jesteśmy już niedaleko obozu, gdy naraz jakaś szara masa mignęła się w krzakach i znikła. Pierwszy nasz wykrzyknik był: to lew!...

Wpatrujemy się we mgłę, lecz czeka nas zawód. To nie lew, to hyena zapóźniona podąża na ucztę. Reszta dnia przechodzi bez nadzwyczajnych wypadków.

Cały oddział ludzi moich łazi po okolicznych gąszczach i szuka tropu, lecz napróżno.

Nazajutrz decydujemy się iść dalej. Podczas gdy w obozie odbywa się pakowanie i taniec tłómoków, ja wychodzę na polowanie.

Chcę koniecznie zabić antylopę, mięso słonia jest dobre, lecz na krótko, ja mam go już dosyć, a zdaje mi się, że Bertrand także. Jakoż polowanie udaje mi się nieźle, zabijam antylopę, ale w jakich ciekawych warunkach! Najpierw ją postrzeliłem. Po długiej ucieczce zatrzymała się za grubem drzewem; nie mogąc zajść z boku, bo mnie spostrzeże, po niewielkim namyśle walę do niej przez drzewo kulą „solid“ Nr. 303. Nabój przeszedł przez pień, grubości 55-u centymetrów i strzaskał łopatkę antylopy, która zatoczyła się i padła martwa. Niezły strzał! Zdobycz przenosimy w tryumfie do obozu; poćwiartowano ją i oporządzono wkrótce, a mięso ułożono na noszach.

Ruszamy w dalszą drogę.

Noc przepędzamy w pamiętnej wiosce, gdzie parę dni temu uśmierciłem lwa, nazajutrz idziemy dalej, łazimy po okolicy, trzymając się zawsze brzegów rzeki Kapotsze, nocujemy u stóp niewielkich pagórków, których ilość znaczna jest tu w okolicy.

Wreszcie rozkładamy większy obóz, ze wszech stron otoczony szańcami i wysoką palisadą z gałęzi; trzeba być ostrożnym, bo w tym pasie, prócz zwierząt drapieżnych, mamy jeszcze miłe sąsiedztwo plemion łupieskich z rodzaju Mpeseni Mafsitis; przed niemi należy się ubezpieczyć.

Obozowi temu dałem nazwę „Niaragué“, co znaczy dosłownie: pantera, gdyż przez cały czas naszego pobytu pantera nie dawała nam spokoju.

Dziś cały ten kąt Marawii bardzo się zmienił i, że tak powiem, ucywilizował od czasu, gdy europejczycy przybyli tu i rozpoczęli swoje gospodarstwo. Ale w roku 1895, to jest w czasie moich łowów największych, dzika natura była wszechwładną panią tych okolic. Zaiste, trudno nawet w Afryce odnaleźć drugą lepszą krainę dla myśliwych, jak źródła rzeki Kapotsze i północne okolice Oundi — to raj prawdziwy.

Te cztery delty były tak puste, jak ziemia przed stworzeniem człowieka. Można było chodzić w różne strony świata całymi dniami, ba, nawet tygodniami, i nie ujrzeć ni wioski, ni żywej duszy.

Przed laty zamieszkiwały tu niektóre plemiona afrykańskie, ale dzicy Mafsitis wyniszczyli je zupełnie.

Cała okolica jest dobrze nawodniona, tak przez rzeki same, jak i przez ich liczne dopływy. Błota i moczary ciągną się całemi pasmami, od czasu do czasu przerywane płachtami łąk o trawie wysokiej, soczystej.

Naokoło szumią lasy stare, a młode zagajniki wtórują im głosem cieńszym, śpiewniejszym. Nic dziwnego, że w takiej krainie jest wszelakiego zwierza dosyć. Małe i duże stworzenie garnie się do tych puszcz dzikich, gdzie znajduje bezpieczne schronienie i żywności wbród. Słonie i nosorożce, nie straszone przez nikogo, wylegują się całymi dniami po błotach.

Dla myśliwego to prawdziwe pole do popisów, tylko z bronią postępować należy uważnie i statecznie. A przedewszystkiem ostrożności i jeszcze raz ostrożności. Któryż z nas wie, co ukrywać się może wśród gęstych zarośli i traw wysokich? Nieraz cały dzień brodzącym po błocie, ileż nam grozi niebezpieczeństw! A nuż zwierz jaki dziki wypadnie nagle z zasadzki, a jeśli w porę nie zdołamy się ochronić, to wtedy co? Zginąć chyba wypadnie. Na każdym kroku śmierć zagląda w oczy.

Ale o niebezpieczeństwach potem, teraz siedzimy w obozie, jak przykuci. Od czasu, jak przybyliśmy do Niaragué deszcz pada bezustannie, tak, iż nawet nosa za namiot wysadzić nie można. Przez ten czas de Borely razem z całym taborem zimuje na północy Makanga, najętych murzynów rozpuszczono chwilowo do domów, tylko część ludzi naszych pilnuje skarbów.

Ja właściwie mogę podróżować dalej, ale moi murzyni, obarczeni ciężarami, w żaden sposób. Każdy niósł na głowie jakąś pakę, a tu błoto straszne, deszcz, rzeczy się niszczą. Najlepiej więc zrobię, gdy przeczekam złą porę w namiotach, a w maju, gdy słońce zabłyśnie i nastanie pogoda, to jazda dalej; tymczasem zaś polujemy po okolicy.

Teraz należy objaśnić czytelnika, w jaki sposób urządzamy obóz podczas naszej wyprawy. Każde obozowisko nasze jest otoczone palisadą, czyli żywopłotem z krzewów, zarośli i traw, tak że możnaby przejść mimo i nie zauważyć, że to wspaniałe ogrodzenie zrobiła ręka ludzka. A jednak palisada mieści w sobie całe nasze gospodarstwo razem z czterdziestu ludźmi. Na środku jest plac odkryty, pusty na 20 metrów, trochę opodal stoi mój namiot, dalej znajduje się namiot Bertranda i jeszcze jeden z bagażami i pożywieniem. Na zewnątrz palisady znajdują się szałasy moich ludzi i drzewo do palenia. O kilka metrów od obozu jest plac zniwelowany umyślnie do ćwiartowania zwierzyny, aby w samym obozie nie robić nieporządku i nie zanieczyszczać powietrza. Na tymże placyku suszymy skóry zwierząt na słońcu.

W takiej wesołej chwili na zewnątrz obozu rozstawiamy liczne kozły z mięsem, przygotowanem do suszenia, na wieczór wnosi się je do wnętrza, a nazajutrz rano powtarza się też samą manipulacyę. Robimy to dlatego, aby kozły z mięsem nie zajmowały nam miejsca w obozie, przytem mięso przyciągałoby muchy i różne owady, a ich towarzystwo nie jest bynajmniej pożądanem. A tak

mamy spokoj, mięso się suszy za naszemi plecami bezpiecznie; dzikie zwierzęta w dzień siedzą ukryte, sępy i jastrzębie rzadko nam robią szkody, wolą bujać w przestworzach.

Zdarzało się nieraz, podczas największych upałów, że wracałem do obozu zupełnie niespodzianie i zastawałem ludzi moich w głębokim śnie pogrążonych, a około nich ze dwadzieścia kozłów z mięsem, których mieli niby pilnować. W obozie Niarague zostawiamy zawsze paru ludzi dobrze uzbrojonych, aby strzegli naszego dobytku, tak przed zwierzem, jak i przed dzikimi Mafsitis, którzy krążą podobno w okolicy. W razie napadu ludzie nasi potrzebują tylko zamknąć bramę w palisadzie obozowej, a są już zupełnie bezpieczni. Przyczajeni za ogrodzeniem, mogą razić dzikich wystrzałami, podczas, gdy tamci, uzbrojeni w maczugi i włócznie, nie są w stanie nic złego im zrobić. Bramę obozową, o której wyżej wspominałem, urządza się w sposób zupełnie prymitywny. W palisadzie jest zwykle spory otwór do wyjścia, po obu jego bokach, jakby dla straży, wbija się dwa słupy, które stanowią zawiasy bramy; następnie wkopuje się między tymi słupami ciernistą gałąź o dużych, mocnych kolcach i przywiązuje silnie wewnątrz obozu. Tym sposobem kolce i mniejsze gałązki ścieśniają się i tworzą ścianę nie do przebycia.

O jakich dwieście metrów od skraju lasu, gdzie przemieszkujemy, płynie rzeka Kapotsze, skąd bierzemy wodę do gotowania i picia.

W tej porze rzeka wezbrała bardzo i z szumem toczy swe wody, po obu stronach rosną bujne i liczne rośliny wodne, które ocieniają jej brzegi, a zarazem przyciągają całe chmary moskitów. Jeżeli o tej porze roku udają się polowania na słonie, nosorożce i bawoły, za to innych zwierząt ani ujrzysz, tak się gdzieś ukrywają po gęstych zaroślach i za lada szelestem umykają, a o to nie trudno, bo wysokie trawy za lada poruszeniem chrzęszczą i płoszą zwierza. Nieraz dobrze się musiałem napocić, nim upolowałem antylopę lub gnu.

W porze pogodnej zupełnie co innego; cała roślinność spalona jest przez słońce, więc zwierzynę ścigać można cicho bez przeszkód i zabijać masami. Pierwsze nasze polowanie nad brzegami Kapotsze winno być zanotowane.

Pewnego poranku, podczas największej słoty, spostrzegliśmy na niewielkiej równinie jakieś dziwaczne zwierzę, ale coby to być mogło — nikt nie wiedział. Przypatrzeć mu się niepodobna, bo stoi odwrócone do nas tyłem. Gubimy się więc w najrozmaitszych domysłach i przypuszczeniach. Ja widzę tylko dwoje ruchomych uszu, jak u królika, okrągły grzbiet i gruby, mięsisty ogon. Czyżby to był kangur? Nie chcę podchodzić bliżej, aby go nie spłoszyć, strzelam więc z miejsca, gdzie stoję, mierząc w serce. Zwierz, celnie trafiony, pada na miejscu, Tambarika w tejże chwili poznaje, że jest to mrówkojad. Podchodzimy wszyscy bliżej i z ciekawością oglądamy zdobycz; ja, przyznam się, że po raz pierwszy widziałem to zwierzę.

Dziwaczne to stworzenie ma na sobie skórę białą, pokrytą długim, rzadkim, brunatnym włosem, mordeczkę wydłużoną w kształcie świńskiego ryja, a zakończoną małym okrągłym otworem. Ust nie posiada wcale, ale za to w pyszczku skrywa język na metr długości. Uszy jak u królika, łapy uzbrojone w ogromne pazury, potężny, gruby ogon, a krótki, zupełnie prawie bezwłosy. Cały zwierz jest wzrostu sporego wieprzaka; oto powierzchowność mrówkojada, co prawda, mało pociągająca. Nową zdobycz przyjęto w obozie nieprzychylnie. Istnieje bowiem przesąd między starymi krajowcami, że zwierzę to nieszczęście przynosi.

Jeżeli w podróży spotka się mrówkojada, należy zaraz zawrócić do domu, albowiem jest to ostrzeżeniem, że grożą straszne niebezpieczeństwa, i biada śmiałkowi, który, nie usłuchawszy tego, idzie dalej.

Takie i tym podobne przesądy krążą po obozie. Jestem teraz pewien, że wszelkie niebezpieczeństwa i niepowodzenia naszej wyprawy pójdą na karb nieszczęśliwego mrówkojada. To jednak nic nie przeszkadza, że ludzie moi oprawiają tę zwierzynę, pieką mięso i znajdują, że jest doskonałe. Skosztowałem parę kawałków i odjeść się nie mogłem; trudno znaleźć delikatniejszą potrawę, niektóre kąski zwłaszcza są wyborne.

Mrówkojad żeruje zwykle w nocy, w dzień nie widać go prawie nigdy, wogóle zaś o zwyczajach jego krajowcy tutejsi nic nie wiedzą; to nam tłómaczy owe liczne przesądy i tajemnicze opowiadania o nim. To doprawdy nie do uwierzenia, jak krajowcy tutejsi nie mają najmniejszego pojęcia o polowaniu i o zwyczajach zwierząt. Co prawda, to większa część ludności zakłada wsi, zajmuje się rolnictwem i prowadzi żywot spokojny. Ktoby im kazał łazić po dzikich zaroślach i narażać się na liczne niebezpieczeństwa? Oni znają tylko ścieżki, które prowadzą od jednej osady do drugiej, i tędy całe życie swoje przedreptą. W każdej wsi jest tylko jeden strzelec, który o strzelaniu ma takież samo pojęcie, jak ja o chodzeniu po linie. Podczas gdy u nas w Europie aż nadto dobrze znają zwyczaje sarn, zajęcy, kuropatw i t. d., tu zdarzało mi się nieraz, iż krajowcy nie mogli poznać przyniesionej przezemnie zwierzyny, a o tem, żeby nazwy jej znali, niema nawet mowy. Z trzydziestu moich ludzi mogłem zaledwie wybrać czterech myśliwych zawołanych, którzy strzelając nieźle, tropią zwierza doskonale. Wszyscy zaś bez wyjątku strzelcy, posługacze, murzyni, lubią pasyami nasze życie koczownicze i czują się zupełnie zadowoleni i szczęśliwi.

Kilka słów o gryfonach.

Wobec coraz większego zajęcia się tym gatunkiem psów i u nas, podajemy głos jednego z myśliwych austryackich w tej sprawie, umieszczony w organie dolnoaustryackiego Towarzystwa łowieckiego:

„Było to w roku 1884, a więc już prawie 20 lat temu, gdy po raz pierwszy na polowaniu w Austryi zobaczyłem psa szorstkowłosego. Pomyślałem sobie: „to jest wszechstronny pies, którego nam potrzeba“. Z tym szorstkowłosym poszło mi tak, jak z trzylufkiem: ujrzeć i uznać — powiedzmy raczej, natchnąć się uznaniem — że jeden jest najlepszy pies, a drugi najlepsza strzelba dla naszych stosunków, było jedno i to samo. Dla myśliwego który poluje tylko na kuropatwy, a tylko w jesieni lub zimie jest na kilku polowaniach z nagonką — nie gra pies i jego rasa tak wybitnej roli, jak dla myśliwego zawodowego, poświęcającego cały swój wolny czas zupełnie i wyłącznie ochronie zwierzyny i polowaniu.

Wymaga on od psa wielostronnych, praktycznych świadczeń a przytem zdrowia, którego nie nadweręży ani gwałtowna zmiana temperatury, ani też praca we wodzie podczas słoty. Dalej wymaga on odeń samoistnego dzia-

łania, wreszcie by pies jakiemkolwiek nieprzywidzianem zdarzeniem nie pozwolił się, że się tak wyrazimy „zbić z tropu“. Kto „szorstkowłosowemu“ zajrzy w oczy, pozna natychmiast, że ma do czynienia z psem o niezmiernej inteligencyi, że tkwi w nim, jeżeli mi się tym wyrazem posłużyć wolno, „charakter“ i że pies ten w razie potrzeby będzie działał samoistnie.

Prawda że wygląd zewnętrzny „szorstkowłosego“, zazwyczaj literalnie taką siercią ozdobionego, nie może rościć pretensyi do piękności — terminu używanego wedle naszych pojęć przy określeniu wyglądu psów, zwłaszcza o jasnej maści i błyszczącej skórze; z drugiej strony natomiast nie da się zaprzeczyć, że pies „szorstkowłosy“ wywiera wrażenie bardzo malownicze. A nie możemy pominąć, że piękność psa ma dla myśliwego taką samą wartość, jak ozdoby, wykładania złotem itd. przy strzelbie.

Raz ktoś powiedział, że pies będący ciągle przy myśliwym, a więc który dzieli z nim także jego mieszkanie, winien być piękny i czysty, — wymóg, który wiele mówi. Otóż z gryfonem jest właśnie tak: mocno uwłosiony szorstkowłosy wymaga pewnej pielęgnacyi, aby dobrze wyglądać. Wypadające włosy należy usunąć grzebieniem i szczotką. Przytem atoli należy uważać, by psa nie oskubać zanadto.

Zachód około szorstkowłosego jest trudem, którego pies krótkowłosy nie wymaga w tak wysokim stopniu, ale również zaniedbany pies krótkowłosy nie zrobi dobrego wrażenia, a w każdem razie nie zrobi go na znawcy.

Musimy atoli zaznaczyć z naciskiem, że nie wszystkie szorstkowłose psy wymagają równej pielęgnacyi włosa.

Szaro-brunatne psy o ciemniejszych tonach będą rzadko wyglądać nienagannie, co już z samego gatunku maści wypływa.

Znaną jest maść „typowa praktyczna“, o której tak wiele piszą; ciemno-siwe i biało-brunatne gryfony z niezbyt długą siercią wyglądają przez cały rok dobrze — choć się ich zbytnio nie pielęgnuje.

Chciałbym zwrócić uwagę na jedną okoliczność dotyczącą wyglądu, której, o ile wiem, dotychczas nikt nie poruszył.

Oto psy, często używane do polowania, wyglądają zawsze — ze względu na włos — nienagannie.

Gdy mi kto przyprowadzi szorstkowłosego psa, powiem mu wnet, czy pies jest często używany do polowania, czy przeciwnie. Przy pewnem ćwiczeniu i poprawnem oku można to poznać bardzo łatwo, w każdym razie powinno się umieć poznać. Tu chciałbym równocześnie zadać pytanie, czy pies szorstkowłosy zanieczyszcza więcej pomieszkanie niż inny, — a zadawszy je, muszę mu zaraz zaprzeczyć. Potrzeba tylko wiedzieć, jak należy się obchodzić z psem szorstkowłosym.

Gdy wpuszczę zbłoconego psa wprost z ulicy do pomieszkania, to rozumie się chyba samo przez się, że wniesie on sporą porcyę błota i to szorstkowłosy może nieco więcej, niż krótkowłosy.

Niedogodności tej atoli można zapobiedz w dwojaki sposób:

Albo wytrze się psa, wracającego do domu, stosownem, zawsze w pogotowiu leżącem suknem do sucha, albo też pozostawia się psa w pewnem miejscu na godzinę, na którem, aż do osuszenia się ma leżeć. Do tego ostatniego celu służy skrzynka, napełniona słomą, albo też znany kosz transportowy, który również wysłany jest słomą. Doświadczyłem, że szorstkowłose psy, leżące na słomie, zawsze lepiej wyglądają, niż psy rozkładające się na materacach itd., co się łatwo tem tłomaczy, że słoma funguje jako szczotka, usuwając martwy włos i czyszcząc sierć równocześnie. Wreszcie nie zapominajmy, że szorstko- a długowłose psy nie są idealnym typem i że przy należytym doborze psów do chowu — wyłączającym odeń psy o długich kudłach, a w szczególności o wielkich brwiach — łatwo zdarzyć się może, że przychodzą do chowu krótko-uwłosione, szorstko-włose psy, które zresztą w użyciu są nie tylko tej samej wartości, lecz także piękniejsze dla oka.

Rozumie się, że wyrażenie „krótko- i długo-włosy“, należy zawsze pojmować względnie. Że to jest możliwem, dowodzą tego nasze wystawy, na których takich szorstko-a krótkowłosych psów spotykamy bardzo wiele.

W każdym razie powołują się na te psy zwolennicy gryfonów i bronią nimi swej teoryi, co już ze względu na pochodzenie uzasadnić się nieda, nastręcza atoli sposobność zaczepienia ponownie znanej teoryi identyczności. Spór ten o szorstkowłosego psa (gryfon contra szorstkowłosy) przyniósł szkodę tak dla chowu jednego — jakoteż i drugiego.

Gdziebyśmy byli dzisiaj, gdyby Beckmann nie ogłosił teoryi, wedle której szorstkowłosy jest klimatyczną odmianą niemieckiego krótkowłosego psa.

Kto znał ówczesne szorstkowłose (patrzyłem na rozwój ich w Austryi od samego początku, znam je zatem bardzo dobrze), ten musi przyznać bezwarunkowo, że teorya ta w czasie powstania swego była fałszywa.

Dzisiaj jest bezwątpienia największa część szorstkowłosych na punkcie budowy bardzo podobna do niemieckiego krótkowłosego wyżła. Podobieństwo to należy przypisać wyłącznie kierunkowi chowu, to też znajdujemy u szorstkowłosych w tym samym pomiocie szczenięta, które zarówno cechom gryfona, jako też cechom szorstkowłosego odpowiadają.

To też zdarzało się, że tu premiowano szorstkowłosego jako gryfona i naodwrót gryfona, jako szorstkowłosego. W zasadzie jest to satyrą na całą teoryę. Jakkolwiek brzmi to niepodobnem do prawdy, to jednak prawdą jest, że chów szorstkowłosego wyrodził walkę partyjną. Zajmujący się chowem tych psów był zwolennikiem tej lub owej partyi; hodować jeden z tych gatunków psów znaczyło być zwolennikiem, lub przeciwnikiem teoryi tożsamości.

Rozumie się samo przez się, że wśród tych stosunków musiał i sam chów ucierpieć.

Kością niezgody była różnica w uwłosieniu głowy i uszu.

Dążąc do otrzymania krótkowłosej głowy — uczyniono sporą część szorstkowłosego materyału prawie krótkowłosą.

Z wyjątkiem brwi mamy prawie prototyp krótkowłosego. Po kilku latach jest szorstkowłosy — krótkowłosym. To jest rezultat sporu. Jeżeli patrzymy dziś na szorstkowłosego, to widzimy w nim właściwie już krótkowłosego psa, który tylko ma twardszy, więcej szorstki włos, niż jego krótkowłosy braciszek. Pozostaje zadać pytanie, czy się opłaci psa tego chować?

Przejdźmy teraz do korthalsów i przyjrzyjmy się ich budowie a przekonamy się, że mają się tak prawie do krótkowłosych, jak angielski setter do pointera.

Wiadomem jest, że setter mający silniej zbudowany tył w tych samych warunkach, przewyższa wytrwałością

pointera. Korthals osiągnął przy swym chowie dłuższą głowę, dłuższy chwyt i do drutu podobny włos, który miał się równomiernie rozdzielić i wyrównać na całem ciele.

Wszystko inne — co o chowie Korthalsa utrzymują, jest niestosownem i po największej części — trzeba to raz otwarcie wypowiedzieć — tendencyjnie przekręconem.

Co do uwłosienia głowy, to zaznaczano swego czasu z pewnej strony, że psu, przeznaczonemu do ciągłego użycia, zasłania oczy włos, zwisający z głowy. A przecież nigdy i nigdzie nie twierdził żaden zwolennik gryfona, by głowa tak uwłosioną być miała, aby aż widzenie tamowała, gdyż to byłoby nonsensem. Z drugiej strony nikt nie zaprzeczy, że włosy na mordzie, które wargi, tudzież włosy na czole, które głowę psa mają ochraniać przed ciernistymi krzakami, ostrą trawą i szuwarem — są przyjemną przynależnością dla psa, używanego do łowów — więc pocóż się spierać? Zresztą szorstkowłosy nie powinien na oko gonić, lecz z nosem na tropie, to też może byłoby to wcale nie od rzeczy, gdyby młodemu gryfonowi trochę przydługi włos nie pozwalał gonić na oko. Toby uprościło znacznie tresurę; rozumie się atoli, że to wypowiadam żartem — nie robiąc z tego wymogu. R. Winkler, znany treser wyżłów, posiada psa, Tell Overveen Gr. St. B. 1536, który stał się krótkowidzem wskutek ektropii i który pracuje wyłącznie nosem. Jest on jednym z najlepszych, przez nas posiadanych apporterów i dowodzi słuszności mego wyżej zamieszczonego twierdzenia. Sędziowie — trzymający się ściśle zasad klubu gryfonistów przy wydawaniu orzeczenia, wymagają stale długich głów — odsądzają wysokie, za krótkie psy o sztywnej postawie i takiejże nasadzie ogona a przykładają wielką wagę do szorstkiego, drucianego włosa.

Co do mnie — patrzę przedewszystkiem na budowę i na ogólny zewnętrzny wygląd, a potem dopiero na uwłosienie.

Czy ono jest trochę mniej lub więcej szorstkie — to nie odgrywa tak wielkiej roli. Rozumie się, że wełnisty włos wyklucza się zupełnie — natomiast prawdziwy druciany włos jest ideałem.

Jeżeli jednak spostrzegę sędziego, który bada twardość włosa, dotykając zwojów, to przyznam się, że wiara w jego wiadomości u mnie upada.

Prawdziwie twardy włos musi sędzia rozpoznać na pierwsze wejrzenie. Tylko jeżeli chodzi o dwa psy, co do wszystkich cech jednakie, wtedy może twardość włosa rozstrzygać o pierwszeństwie i wtedy mogłoby być badanie przez dotknięcie usprawiedliwione.

Wypowiadam tu jednak otwarcie zdanie, że raczej szukałbym innej cechy, aby jednego psa przenieść nad drugiego.

O wietrze gryfona wydawano bardzo często nieprzychylne orzeczenia.

Brzmiały one zawsze, że szorstkowłose psy co do dobroci nosa pozostają za krótkowłosymi. Nie wywlekając kwestyi, że, aby osądzić dobroć psiego wiatru, potrzeba na to dłuższej obserwacyi, zauważę, że bardzo niewielu myśliwych może na tym punkcie wydać wyrok niedopuszczający zarzutu.

Jeżeli nawet przyjmiemy, że ten lub ów gryfon nie miał dobrego nosa, to chyba nie da się tem uzasadnić twierdzenie, że rasa gryfonów musi posiadać zły wiatr.

Za każdego gryfona o krótkim wietrze — dostawię trzy krótkowłose o jeszcze gorszych nosach, a to dlatego, ponieważ jest więcej krótkowłosych niż gryfonów, nie znaczy to jednak wcale, że krótkowłose w ogólności mają zły wiatr. Także o powolności szukania gryfona wiele już pisano i mówiono. Godzono się na jedno: że gryfony są zbyt powolne, co wcale prawdą nie jest. Słusznem jest, że z początku chowu szorstkowłosych, psy te były nieco powolne, lecz dziś szorstkowłose stały się tak gorącymi, jak niemieckie krótkowłose, czego zresztą nie potrzeba udowadniać. Mamy za mało może hodujących gryfony — i w tem to leży przyczyna, że w chowie ich nie postąpiliśmy tak daleko, jak w chowie krótkowłosych. W całych Niemczech, możnaby zaledwie zebrać tuzin takich, którzy trzymając się ściśle zasad, rzeczywiście wychowują gryfony. Czy tu nie miała wpływu znana teorya, że krew gra główną rolę — nie mógłbym bezwarunkowo zaprzeczyć. Co do mnie hodowałbym potomstwo tylko rodziców dobrych psów myśliwskich, tak jak to już robiłem i to z dobrym skutkiem w czasie, gdy jeszcze nie było takiego postępu w hodowli psów.

Będąc przy zasadach chowu, muszę przedewszystkiem przestrzedz przed używaniem do rozpłodu dużych psów.

Wszystkie duże psy mają zazwyczaj zbyt płytkie piersi — wymagają przy stosowaniu racyonalnego wyżywienia w czasie chowu, więcej pokarmu i są mniej odporne na choroby.

Gdyby przy premiowaniu psów badano także wytrwałość, prędkoby znikło zamiłowanie do dużych, tj. wysokich psów — i to dla dobra hodowli racyonalnej.

Po tem odstąpieniu od przedmiotu, wracam doń z prośbą o wybaczenie mi tych expektoracyi. Że tuzin hodowców, nie może rasy wykształcić — rozumie się samo przez się, tem bardziej, że ona nie znajduje powszechnego poparcia tak, jak rasa krótkowłosych.

Przyczynia się do tego także ta okoliczność, że wielu hodowców szczenięta swe oddaje do Hollandyi, Belgii, i Francyi, gdzie otrzymują wyższe nagrody i gdzie psy te więcej cenią, tak że w Niemczech, prócz nielicznych wyjątków znajdzie się przeciętnie dotychczas tylko mniej wartający materyał — który się atoli polepsza z dnia na dzień.

Jakkolwiek nie o tem na razie mowa postawię tu jednak ze stanowiska praktycznego myśliwego pytanie, czy rzeczywiście gorący rasowy pies jest ideałem?

Opierając się na dwudziestoletniem, łowieckiem doświadczeniu, w którym to okresie używałem psów przez siebie tresowanych i to wśród najrozmaitszych stosunków łowieckich — muszę wyznać, że wcale nie zachwycam się szybko pracującym psem.

Mniej gorący pies będzie w praktyce świadczył zawsze więcej, ze względu na wielostronność, od psa gorącego, u którego wiatr i tempo, z małymi wyjątkami, rzadko kiedy pozostają do siebie w należytym stosunku.

Dążeniem do otrzymania psa który w galopie szuka, zapędziliśmy się, zaślepieni pięknym obrazem takiego psa w polu, zbyt daleko w ideę, której błędność poznamy w niedalekiej przyszłości.

O ile chodzi o rozszerzenie się gryfona w Niemczech, to cierpi ta rasa właśnie z tego powodu, że za mało ma w Niemczech hodowców, gdyż na popycie o dobre, do polowania zdatne szczenięta nie zbywa.

W Niemczech nie można bezwarunkowo otrzymać tych cen, które płacą za granicą, a hodowcy byliby powiedzmy niezręczni, gdyby produkty swe zbywali tam, gdzie im gorzej zapłacą.

Aby odpowiedzieć na wszystkie pytania, dotyczące gryfona, muszę napomknąć o twierdzeniu, jakoby gryfon nie miał podwłosia.

Każde żyjące zwierzę, mające uwłosienie, ma podwłosie, które jest mniej lub więcej widoczne wedle pory roku; tak samo można to podwłosie zobaczyć i u gryfona, trzeba tylko chcieć widzieć.

Wierzyć w to, że się gryfony pokona i usunie z widowni byłoby błędem.

Przyjdzie czas, w którym psy te, niezohydzane przez zazdrość i zawiść partyjną, zdobędą sobie w Niemczech takie samo miejsce, jakie zdobyły w innych krajach.

Oby czas ten nadszedł jak najrychlej!“

Korespondencye.

Pikułowice, 26. sierpnia 1903.

O chorobie sarn rzekomo dotąd nie znanej, a o której wspomina p. Romanowski w korespondencyi z Batiatycz z dnia 5. sierpnia b. r., słyszałem już nieraz a jeszcze częściej czytałem o niej w pismach niemieckich.

Chorobę tę nazywają „Rachenbremse“ *), a ma być tak niebezpieczną, że czasem wyrządza między sarnami ogromne spustoszenia. Ja sam skonstatowałem w przeciągu kilkanastu lat tylko parę wypadków tej choroby, a to sekcyonując padłe sarny, celem przekonania się, czy zachodzi tu przypadek wąglika czy motylicy.

Sarny padłe na tę chorobę były bardzo chude, a w gardle i w kanałach oddechowych znajdywałem robactwo. Płuca miały wygląd chorobliwy, a w niektórych wypadkach były prawie zwapniałe.

Każdą sarnę nawiedzoną tą chorobą, można po ciężkiem charczącem oddechaniu i częstem kichaniu poznać. O bliższych szczegółach t. j. czy robactwo jest przyczyną choroby, czy też przeciwnie choroba jest przyczyną rozmnożenia się robactwa, dotychczas nie słyszałem.

Prawdopodobnie będzie to choroba, której ulegają nasze owce, zwana „chorobą robaczną płuc“. Według twierdzenia jednych, chorobę tę wywołuje mały nicień (Strongylus filaria), drudzy zaś twierdzą, że robaki nitkowate nie są przyczyną tej choroby, ale jej skutkiem.

Byłoby bardzo pożądanem, aby zbadaniem tej choroby zajął się szerszy ogół, (gdyż być może, że ja się mylę), a wtedy dojdziemy prędzej prawdziwej jej nazwy i przyczyny. *Maryan Małaczyński.*

†

Kazimierz Rudnicki

zmarł dnia 27. sierpnia 1903 w Wysuczce.

Z śp. Kazimierzem Rudnickim ubył naszemu Towarzystwu dawny i wierny członek i gorliwy delegat — gronu obywatelskiemu wschodniej części kraju człowiek, który umiał spełniać swoje obowiązki. Kto tak jak śp. Kazimierz, pomimo wielkiego temperamentu, umiał wśród bałamuconego rozlicznemi agitacyami ludu wiejskiego zjednać sobie taką wielka miłość i poważanie, ten dał dowód, że zadanie swoje pojmował jak się należy

Ze znakomitym tym gospodarzem ubył także znakomity myśliwy. To grono łowieckie, wśród którego śp. Kazimierz w latach ostatnich stale polował, które cieszył swoimi ślicznymi strzałami, zadziwiał doświadczeniem myśliwskiem, a rozbawiał serdecznym humorem i prawdziwym dowcipem, ponosi niepowetowaną i boleśnie odczutą stratę.

Cześć jego pamięci!

*) Gziec sarni (Cephenomyia stimulator) (*Red.*).

KRONIKA.

Oswojona wydra. Przed kilku tygodniami spostrzegły dzieci jednego z letników, mieszkających w Mikuliczynie, podczas kąpieli w Prucie, jakieś dwa zwierzęta po drugiej stronie Prutu na brzegu się poruszające. Ojciec tych dzieci, któremu zwrócono na to uwagę, przeszedł przez Prut i zastał tam malutką wydrę — druga gdzieś zniknęła. Przyniesiono wydrę do domu i karmiono mlekiem. Dziś znajduje się „Robak“ u p. A. M. w Diatkowcach pod Kołomyją i jest przedmiotem podziwu wszystkich. Jest tak przyzwyczajony do swojego pana, że chodzi za nim jak piesek — na jego rozkaz przybiega ze swojego kącika i wspina się na łapki tylne, piszcząc przytem tak, jakby chciał co przemówić. Duży pies leonberger, który chciał się widocznie z nią pobawić i zbliżył zanadto nos do ostrych zębów wydry, został tak przez nią poczęstowany, że teraz zdaleka ją obchodzi. Najciekawszy jednak widok jest wtenczas, gdy wydra wejdzie do dużej miednicy napełnionej wodą i chwyciwszy się ząbkami za ogon, kręci się w kółko w wodzie cały kwandrans. Je wszystko — bardzo chętnie surowe ziemniaki, owoce, ale także równie chętnie mięso surowe.

Zemsta legawca. W jednem z dolno-austryackich miasteczek odbyła się rozprawa sądowa, mająca za przedmiot oskarżenie chłopaka włóczęgi o kradzież psa. Siedział on dość długo w szynku, mocno podpity i trzymał psa na linewce, owiniętej o rękę. Przy opuszczeniu szynku dostrzegł zbliżające się dwie postacie, które wprawnemu jego oku mocno się wydały podejrzane. Byli to rzeczywiście dwaj ajenci policyjni, którzy go także nawzajem spostrzegli, wskutek czego włóczęga uważał za stosowne szybko się oddalić. Szybki chód zmienił się wkrótce w gwałtowną ucieczkę. Ajenci udali się w pogoń, a biedny pies, uwiązany do ręki musiał galopować przy boku złodzieja. Gdy jednak pies przeszkadzał mu do pewnego stopnia w ucieczce, postanowił puścić go i zmykał dalej sam. Teraz jednak przyszła kolej na psa — rzucił się on za opryszkiem, dopadł go w jednej chwili i chwycił za surdut. Pomimo wściekłych kopnięć, jakie chciał mu opryszek aplikować, pies trzymał go tak długo, aż zdyszani sludzy sprawiedliwości dopadli tej ciekawej grupy i zajęli się złoczyńcą.

Wywóz przepiórek z Sycylii. Wywóz żywych przepiórek z Messyny do Anglii odbywa się już od licznego szeregu lat w wielkich bardzo rozmiarach. Przepiórki łapią Messyńczycy w okolicy tego miasta całemi masami, trzymają w Messynie dwa lub trzy dni w klatkach, żywią siemieniem i zbożem i dają im obficie pić. Wysyłka uskutecznia się okrętem. Ilość wyłapanych corocznie w tem tylko miejscu przepiórek wynosi 90.000 do 100.000 rocznie.

Drobne ogłoszenia.

Do sprzedania pięknie znaczony **wyżeł dalmatyński,** rasowy, pięciomiesięczny, bardzo ładny. Wiadomość w Administracyi „Łowca“.

Sprzedam tanio dwa orły (aquila fulva) 3 miesięczne, względnie zamieniam za jeże. Zarząd lasów Łuka; o. p. Niezwiska.

Zamieniam lub sprzedam wyżła rasy niemieckiej, z twardym włosem (Stichelhaar), szaro nakrapianego z brunatnemi płatami, idealnego pod względem budowy i owłosienia. Harras von Donnersmarck ur. 22. maja 1900 z Hertha-Altenau (D. H. St. B. Nr. 141 A. Bd. XXII.) po Ciss-Morrow (D. H. St. B. Nr. 72 A. Bd. XXII.) Dr. Marynowski, Bircza.

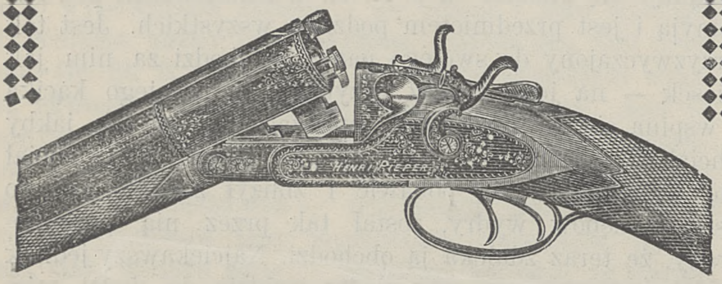
Kupię wyżła bardzo dobrego w 3-cim lub 2-gim polu. Jan Kleski w Werbiążu, poczta Kołomyja.

Kalendarzyk bankowy wysyłamy bezpłatnie. Polecamy naszą firmę do wszelkich transakcyi, wchodzących w zakres bankowy, Schütz i Chajes, Dom bankowy, Lwów, plac Maryacki 7.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

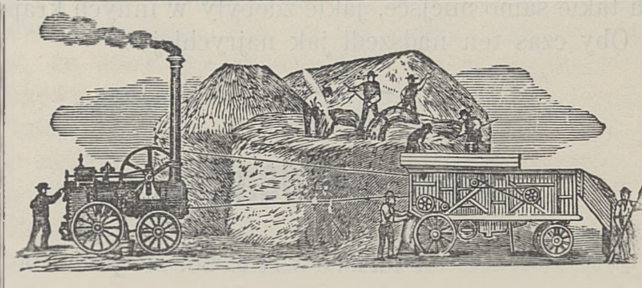
jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyńcze i podwójne. Trzylówki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety, floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.



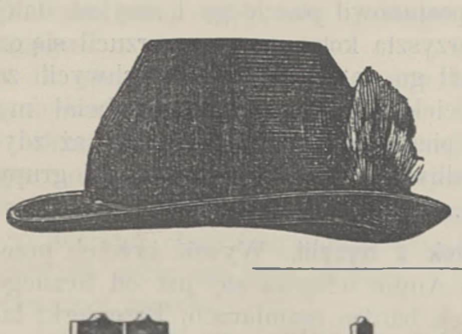
Lwów ulica Grodecka l. 22.

Clayton & Schuttleworth Limited

polecają swe, ogólnie uznane jako najdoskonalsze wyroby **maszyn i narzędzi rolniczych,** a mianowicie: **Locomobile i młocarnie parowe,** które jako pierwszorzędne i wzorowe opanowały targi świata (przeszło 70.000) lokomobil i młocarń sporządzono i sprzedano), **przewozowe i stałe kieraty i młocarnie kieratowe, młynki, trieury. pługi uniwersalne stalowe, brony, walce, siewniki Columbia** (jedyne maszyny siejące regularnie na każdym terenie) **siewniki szerokorzutne, plewniki Planet jr,** światowej, sławy, **kosiarki, żniwiarki** z aparatem do wiązania lub bez niego, **grabiarki, sieczkarnie, śrotowniki, pompy, i sikawki** i t. d. i t. d. i zapraszają do zwiedzania swego składu maszyn.

W warstacie reparacyjnym, pędzonym parą, zaopatrzonym w najnowsze maszyny pomocnicze uskuteczniają wszelkie naprawy dokładnie i tanio.

Illustrowane cenniki darmo i opłatnie.



KAPELUSZE FILCOWE

LODENOWE i SŁOMKOWE.

CZAPKI WSZELKIEGO RODZAJU.

SZTYLPY, MESZTY i KALOSZE

PETERSBURGSKIE



poleca

Kazimierz Bielczyk

Lwów, Halicka l. 21. — Cennik ilustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.